

Przeznaczenie Polidora musiało dopełnić się również szczęśliwie tajemniczo jak i moje, jeżeli policja do tej pory nie wpadła na najmniejszy jego ślad. Co zaś do losu mej drogiej żony, Gabryeli, to on był już dokonany; i jeżeli miałem w głębi siebie na każdą chwilę dnia, jako pobożne wspomnienie o niej, myśli pełne litości i bolesnego żalu, to muszę jednak wyznać, że starałem się oddalić je od siebie. Nie powinienem był przejmować się daremną sentymentalnością; nie rozchodziło się już teraz o ofiarę, lecz o tych, co ją przeżyli... o Polidora, Ewelinę i wreszcie o mnie samego! Przeznaczenie Eweliny tak ściśle było związane we mnie z przeznaczeniem Polidora, iż nie mogłem myśleć o jednej, by nie żyć zaraz drugiemu takiego powodzenia jak moje, by pozostał na zawsze w oczach świata, jakby nie istniał wcale!

Nie czasu pozostawiałem tak, oparty o okno, przyglądając się gwiazdom na niebie, które może jedynie mogły czytać w głębi mego serca? Musiałem już tam być godzinę pogrążony w swych dumaniach bolesnych, gdy nagle w sąsiednim pokoju, zajmowanym przez Łucyę Weill, rozległ się hałas jakiejś kłótni. Cofnąłem się szybko i zamknąłem okno. Bambu, pragnąc swoją mimiką wpoić we mnie przekonanie o odejście młodej kobiety, przekonał mnie raczej o czemś zupełnie przeciwnem... Wykretna odpowiedź Joe Duncana również nic mi nie wyjaśniła... Teraz słyszałem wyraźnie grzmiący głos milionera i rozpoznawałem ostry sopran Łucyi, podniesiony aż do najwyższych nut... Pewny byłem, że Joe czekał, aż zasną, by przyjść porozumieć się ze swą zbyt cichą już współniczką w sprawie, która mogła się rozwijać nadal bez jej udziału. ...Z kłótni tej jednak nie mogłem domyśleć się ani jednego słowa... Przytknąłem ucho do ściany, powstrzymałem oddech, nатеżyłem uwagę, by usłyszeć choć jedno zdanie, z którego mógłbym dorozumieć się, o co im chodziło... Na razie jasno słyszałem tylko przyspieszone bicie serca w mych piersiach.

Nagle rozległ się jakby odgłos walki... upadek ciała na podłogę i straszny krzyk niewypowiedzianego cierpienia, dożywający się z duszonego gardła... Tym razem uderzyły mój słuch te przerażające, wyraźne słowa:

— Na pomoc!

Nad hałasem zapanował ostry głos Łucyi i powietrze rozdarł ten okrzyk, w którym zawdzięczała całą jej rozpacz, ostatnie jej wezwanie:

— Morduj!... Mordu...!

Krzyk uwiązł w gardle...

Zapanowało nagle milczenie... Usłyszałem teraz, słuch bowiem stał się czułym jak mikrofon, jęczenie i rzęzenie!... Nie łudziłem się już wcale co do przeraźliwego dramatu, jaki musiał się dokonać tam za ścianą między Joe Duncanem, człowiekiem bez żadnych skrupułów i tą dziewczyną bez znaczenia, Łucyą Weill!... Tu, o dwa kroki ode mnie, w tym opuszczonym i umyślnie wybranym domu mordowano kobietę, pozostającą bez obrony. Skoczyłem z zaciśniętymi kulkami do drzwi, które Bambu zamknął na dwa spusty, wstrząsnąłem niemi z całych sił, lecz na próżno... Zrozumiałem teraz ostrożność Bambu, podsyłaną mu przez jego pana! Jakieś pragnienie wolań wzbudziło się we mnie, chęć krzyknienia z całej piersi:

— Morduj!... M. dują kobietę!

Jak mledzący głos Łucyi Weill, również i mój krzyk nie znalazł żadnego echa poza ogrodzeniem parku. Gwiazdy na brylantowym niebie w dalszym ciągu drżały jako jedyni, niemi świadkowie tego dramatu!

Otworzyłem okno i mierzyłem wzrokiem wysokość piętra... Szybko powziąłem postanowienie... Zerwałem prześcieradła z łóżka... Przymocowałem je do framugi. ...Jednym śmiałym skokiem — przerażenie zdwoiło me siły i zręczność — spuściłem się aż do gzymsu dolnego pierwszego piętra... Stąd odbiłem się i skoczyłem na trawnik, który osłabił mój upadek... Okrążyłem szybko budynek i skierowałem się w stronę kuchni, gdzie świeciła się jeszcze lampa. Pod daszkiem drugi negr Dzim, który miał pilnować Łucyi, leżał na kamiennej ławce i drżał całym ciałem z twarzą powalaną krwią i błędnym wzrokiem...

— Dzim! — zawołałem... — Dzim! co się stało? Dzim, drżąc z przerażenia, z oczami, nakrytymi powiekami, zdołał wyszeptać omdlewającym głosem:

— Ah! panie! panie! Bandyta!

I zaczął lkać.

Podbiegłem do drzwi kuchennych i silnie uderzyłem w nie piersią.

— Kto tam? — zapytał drugi negr.

Bambu poznał mnie i otworzył. Spokój jego był w dziwnej sprzeczności z przestraszonym Dzimem.

Pospieszyłem do środka. Zobaczyłem tam Joe Duncana.

Stał do mnie zwrócony plecami, z zawiniętymi po łokcie rękawami i mył pod wodociągiem ręce swe, czerwone od krwi.

Ach! przeklęty bandyta, jak rzekł Dzim. Obrócił się ku mnie i odezwał się zupełnie spokojnym głosem:

— Skąd idziesz, Jonatanie?

Twarz moja musiała być straszna w tej chwili. Wyciągnąłem rękę przed siebie i zawołałem drżącym z oburzenia głosem:



Jakże ja kocham cię drogi ojcze.

— Nędzniku! — zabiłeś Łucyę Weill!

Joe Duncan wobec mego wyraźnego oskarżenia pozostał niewzruszony. Wziął ręcznik i starannie zaczął wycierać ręce. Potem popatrzył na mnie z jakimś szczególnym wyrazem w oczach i odrzekł cynicznie:

— Kiedyż to się stało? Czy ja ci kiedy wyrzuciłem, żeś zamordował swoją żonę?

I wzruszając wgardliwie ramionami wybuchł śmiechem:

— Litość we mnie wzbudzasz swoją niewczesną czułościowością.

## VIII.

Ach! Karta ta, którą teraz piszę, nie jest najboleśniejsza w tem prawdziwym opowiadaniu. A jednak zaczynając ją, doznaję uczucia jakiegoś wstecznego przerażenia, wrażenia bardzo nieprzyjemnego, coś podobnego do strachu. Jest to dziwne... nie znajduję jednak innego wyrażenia... tak, po upływie tych pięciu lat pamiętam jeszcze jakby fizycznie tę straszną noc... Przy opisywaniu tego, co już się stało, lękam się, bym nie odczuł znowu tamtych cierpień. Wahałem się... Kładę pióro... Ręka ma drży... Pewny jestem, że nie zdołam napisać ani litery. Do-

tknąłem się ręką czoła i zobaczyłem, że jest całe spocone!... Jaką bezmyślną rzeczą jest strach!... I strach przed czem?... Przed opowiedzeniem w całej szczeroci zbrodniczego zamachu Joe Duncana... Dosyć już wahań! Będę możliwie najzwzięjszy... Nie mam zamiaru rozczulenia czytelnika swym losem, ani nie chcę wywoływać tanich efektów przerażenia, notując skrupulatnie okrutne cierpienia, jakie znośnię!

Wiem, że pewien reporter irlandzki posunął swą dokładność w opisywaniu faktów tak daleko, iż dał się powiesić, by potem przedstawić czytelnikom swego pisma fazę po fazie wszystkie wrażenia, jakich doznawał przy tem niebezpiecznym doświadczeniu!... Mam powody do powątpiewania o prawdziwości jego opowiadania. Tak względem jego cierpienia dobrowolnego, jak i mego, które jednak dobrowolnem nie były, należy wyznać, iż takie cierpienia nie dają się wyrazić:

Mój wypadek odbył się w następujący sposób.

Wobec cynicznej odpowiedzi Joe Duncana stanąłem jak osłupiały... Przejęty wstrętem z powodu tak strasznego występkę, gotów byłem, nie zważając na własne niebezpieczeństwo, rzucić się na niego, skoczyć mu do gardła, gdy Bambu, negr o atletycznej postaci, stojący za mną, ścisnął mnie na znak swego pana w swych atletycznych ramionach, sparaliżował mój ruch i w mgnieniu oka powalił na cementową podłogę kuchni. Nie zdążyłem nawet zawołać na pomoc!... Byłoby to zresztą zbyt ciche! Któż w tym przeklętym pałacu, oddalonym od innych domów, mógłby mi przyjść z pomocą?... Ani Łucyę Weill, którą dopiero co zamordowano ani Dzim, który pod daszkiem trząsał się ze strachu!...

Joe Duncan jednym ruchem ręki zakneblował mi usta i czułem, jak me wargi są hermetycznie przyciśnięte do zębów pod wąską opaską z cienkiego jedwabiu, który mi gniótł obie szczęki... Jednocześnie podał negrowi kłębek sznurów i zapytał:

— Nie zapomniesz sztucznej kombinacji?

W kilka minut zostałem związany, skrepowany od stóp do głowy; nie zdolny byłem do najmniejszego ruchu. Pojąłem teraz, co Joe nazywał „sztuczną kombinacją... „Był to specjalny sposób wiązania, polegający na tem, iż gdy chciałem poruszyć nogami, sznurek wpijał się w ręce i wrzywał mi się w nogi przy najmniejszym ruchu ramion! Z rękami przywiązane mi wzdłuż bioder i z skrepowanymi stopami, byłem podobny do bezwładnej masy, z którą mogli uczynić wszystko, co tylko zechcieli... W oczach moich musiało się malować jakieś niewypowiedziane przerażenie, gdyż Joe nachylił się nademną i odezwał się tonem przyjacielskiego współczucia.

— Uspokójmy się! czegoś zadam od ciebie?... Jednej chwili męstwa! Przecież możesz się na to zdobyć!...

Jest to w twoim interesie, Jonatanie! Nie mogłem jeszcze zrozumieć, co znaczą te słowa.

Bambu wziął mnie na ramiona... Joe trzymał w rękach dwa małe pakunki, iakie przywiózł z sobą tego wieczoru z Paryża i niósł je ostrożnie...

— Operować będziemy w pokoju przyjaciela, wskazał Joe miejsce, do którego miał mnie zanieść Bambu.

Zimny pot zaczął spływać mi po ciele, zamknąłem oczy z obawy pomieszanej zarazem z pragnieniem zemstki. Co będą robili ze mną? Jaki zamiar powzięli ci złoczyńcy.

Bambu złożył mnie na łóżku.

— Wyciągnij łóżko na środek pokoju, rozkazał Joe i idź poszukaj jakiegoś garnuszka w jadalnym pokoju. Należy postępować ostrożnie, zręcznie, by nie przyczyniać niepotrzebnego bólu.

(Ciąg dalszy nastąpi).